

Nr. 19. Poznań, dnia 10 Maja 1879. Rok II.

Trzy nieznane artykuły
Zygmunta Krasińskiego.

II. *Opisanie jeziora Genewskiego Lemanu.**)

...O milę jeszcze przed Lauzanną, odkrył się mojemu oku widok zawierający wszystko co tylko przyrodzenie stworzyć może wzniosłego i pięknego. Jezioro *Leman*, zdające się być małym oceanem, błyszczało przy promieniach jesiennego słońca, jak massa nieprzeliczonych dyamentów. Wzruszone fale snuły się jedna za drugą nakształt splotów ognistego węża, — a części jeziora na które padał cień gór nadbrzeżnych, podobne były do roztopionego *Lapis lazuli*, w którego tonie osadzono świetniejące farbami tęczy drogie kamienie. Ten ogromny obszar wody lekkim wiatrem wzdymanéj, przedstawiał zachwycający obraz co chwila zmienny, co chwila piękniejszy. Światło igrając w zwierciadłach *Lemanu*, zamieniało je to na szyby lodu, to znowu na fałdowane przestrzenie, w których każda kropla przybierała jasny blask srebra. Kiedy wiatr unoszący się po nad wodą zwalniał -- odbite w jéj toniach góry i skały nowy tworzyły widok. Każda nadbrzeżna chatka zstępowała ze szczytu góry swojéj, by kąpać się w przezroczystych jeziora wodach; — każdy szczyt skał niebotycznych opuszczał niebiosa, by się odświeżać w zwierciadlanéj toni. Zieloność murawy dotąd jeszcze mrozami nie ujętéj, białość śniegu wieńczącego wyżyny, mieszały się z niebieskawą *Lemanu* barwą. Wioski po bokach rozsypane, pełne były ogrodów i drzew jesienną szatą okrytych. Tu sosna samotna, przypominająca mi Polskę, wznosiła się nad poziome krzewy; — tu lipa zżółkłemi szeleściała listkami za przelotem wiatru, którego skrzydła rozwijały białe żagle statków jeziora; — tu modrzew ciemną zielonością ocieniał skał wierzchołki, a po bokach bluszcz i różnobarwne wijąc się rośliny, czarodziejskie tworzyły sklepienia. Daléj znowu, dziksza poczynała się okolica; — naga skała śmiałe czoło pod chmury dźwigając, wydaje się jak olbrzym, pogardzający murawą i kwieciem; — strumień huczący spada z jéj urwisk i z pianą biegnie w dolinę, gdzie pośród umajonych wybrzeży spokojniejszém już płynie korytem. Świerki rosną tu i owdzie nad chatą któréj białe ściany zdaleka jeszcze wzrok przyciągają; — ciasna ścieżka wije się od jéj drzwi aż do stóp skał wyższych. Czasem człowiek po niéj dąży, czasem krowy dzwonkami u szyi zawiązanemi brzęczące, przesuwają się powoli wśród dołów i przepaści — i z schyloną głową, na wzniesionych gór piętrach żują ostatek jesiennéj trawy.

Ale nad wszystkie te obrazy, uroczystszy i poważniejszy panuje widok. Pasmo gór wiecznym lodem skrzepłych, ciągnie się po drugiéj stronie jeziora; — mgła i pośród najczystszéj pogody zaciemnia ich ściany; — chmury w fantastycznych kształtach się snują po ich szczytach to jak czołgające się węże, to znów jak skrzydlate smoki. Śniegi od wieków na ich barkach złożone błyszczą przy słońca promieniach, jak sztaby ze srebra przykute do piętr skały, kiedy gwiazda jasności stoi na połowie niebios; — lecz kiedy zniżona, zapowiada zachód czerwonawą barwą swych promieni, wtenczas trzeba przenieść całą duszę do oka i patrzeć tylko i zdumiewać się nad wielkością przyrodzenia. Niczem są rubinu blaski, przy jasnościach rozlewających się po górach, które otaczają jeziora Genewskie kiedy je barwa zachodu okrywa. Chmury zdają się z płynnego złota ulane; — a wierzchołki gór purpurą i dyamentami strojne, dają wyobrażenie, o ile to może istnieć na ziemi, tronu Przedwiecznego. Obłoki podobne do tęczowych skrzydeł Serafów, to się roztapiają i nikną powoli w czystym błękicie, to znowu gromadząc się razem, rozwijają pyszny baldachim nad skał szczytami. Do tego dodać potrzeba ukazujące się zewsząd domki wiejskie — Genewę w oddali — lasy i gaje, — a utworzy się obraz, który łatwiéj uczuć jak opisać.

Za stopniowém zniżaniem się słońca słabną iskrzące się barwy na szczytach — i z purpurowego koloru przechodzą do różowéj farby. Wtenczas oko zmęczone mile odpoczywa po tylu świetnościach i każda góra wydaje się narzeczoną,

*) Ten ustęp jest rzeczywiście pióra Krasińskiego, gdyż ogłosił go już Gaszyński w korespondencyi Z. Krasińskiego, wydanéj w Paryżu, mało jednak jest ten opis znany, gdyż listy te są dawno wyczerpane w handlu księgarskim.

strojną w ślubne suknie, kratowane śnieżnemi pasami i uwieńczone różami. Zmrok zapadający mięsza z sobą odrębne wprzód kształty i kolory rozmaite zmieniają się w szarą barwę pięknie przy wodach *Lemanu* odbijającą. Księżyc wschodzi powoli a wtenczas odnawiają sią pyszne dnia widoki, ale słabiéj odznaczone. Nie tak rażące światło jaśnieje nad okolicą — milszy czułemu sercu blask rozprasza nocne cienie zatrzymując wszystkie złudzenia i piękności mroku. Góry i skały jak gdyby przez sen widziane, zdają się z upodobaniem przeglądać się w nurtach Lemanu, którego zwierciadła leżą spokojnie — i dopóty za sobą zdziwione przyciągają oko, dopóki w mglistéj nie zniknął oddali. Urocze Helwecyi wdzięki opuszczając nieco z swojéj wzniosłości i powagi, zstępują do rzędu widoków między któremi już nie drży, nie uwielbia, ale rozpływa się serce. Księżyc rozsyła srebrne promienie, by uwieńczać gór szczyty niepewną jasnością. Chmury się zwolna przesuwają i mięszając się do śniegów, zdają się między niemi roztapiać. Błękity niebieskie i wody jeziora, połączone przestrzenią nieznaczną i słabym tylko oświeconą blaskiem, zdają się jednę składać krainę, w któréj i wielkie wznoszą się ogromy i lekkie snują się chmury, podobne do statków żeglujących w otchłani białych śniegów i niebieskich obszarów.

Ale drogi mój! ty łacno pojmiesz że nad te wszystkie cuda natury, nad te czarowne Szwajcaryi okolice, wolałbym widzieć brzeg naszéj Wisły lub Narwi, poglądać na Gopła fale! Oko zajmuje się *Lemanem*, ale serce wzdycha za Polską i powtarzam sobie nieraz ów wiersz Mickiewicza:

W około mnie kraina dostatków i krasy,
Nademną niebo jasne . . . .
Dla czegoż ztąd ucieka serce w okolice
Dalekie — i niestety! jeszcze dalsze czasy! . . . .

Pisano w Genewie 10 Listopada 1829.

WSPOMNIENIE STUDENTA.

Gawęda.

Opowiedział
TADEUSZ ZAREMBA.

(Ciąg dalszy.)

Tego samego dnia, pod wieczór, siedziałem w salonie profesora i przerzucając jakieś album z fotografiami gorzko dumałem nad moim nieszczęśliwym losem, który mnie zbliżył na chwilę do pięknej nieznajomej aby we mnie, jak sądziłem, na wieki spokój zamącić. Przy oknie siedział profesor i czytał gazetę. Nic nie przerywało głębokiego milczenia, które od jakiegoś czasu panowało w pokoju.

Nagle jak bomba zjawiła się profesorowa. Za nią postępował młody chłopiec, obciążony niezliczonemi paczkami starannie w papier owiniętemi.

— Już z miasta? — zapytał profesor kładąc na stronę gazetę.

— Nareszcie! — odparła zagadniona i zwróciwszy się do magazynowego chłopca wskazała mu stół pod ścianą stojący: — Tu, — rzekła, — tu wszystko poskładaj.

Po chwili żywo opowiadała mężowi swoje dzienne przygody. Były u Mangubiego, ale nie mogła znaleść takiéj materyi o jakiej od jesieni marzyła. Musiała szukać po innych magazynach. Znalazła ją w końcu u Fendericha, ale daleko więcej za nią zmuszona była zapłacić, niż sobie tego życzyła. Zresztą była zupełnie zadowolona ze wszelkich innych sprawunków. Trzewiki były bardzo dobre i wcale niedrogie, rękawiczek paryzkich nie kupiła, bo na nich pan Wedde tak niemiłosiernie zdziera. Wzięła natomiast kilka par rękawiczek wiedeńskich, które równie długo trwać mogą, jeźli je tylko chcieć trochę szanować, kapelusz sobie obstalowała u Mademoiselle Honorine, wstążki będą koloru nowej sukni, kwiaty prześliczne i t d. . . . .

Profesor słuchał w milczeniu gadania żony, ale krzywił się od czasu do czasu, bo jako profesor matematyki, biegłym będąc w rachunkach, już w myśli mógł sobie łatwo wystawić cyfrę wydanych przez żonę pieniędzy. Wiedział jak się stroić lubiła, wiedział że z jéj usposobieniami spacer po mieście daleko czasem zaprowadzić może.

Żona spostrzegła jego zasępione oblicze.

— Nie krzyw się w ten sposób, bo tobie z tem nie do twarzy, — zawołała. —

Powinienbyś w domu przynajmniej o matematyce zapomnieć, tembardziej że wcale dużo pieniędzy nie wydałam. Ręczę że się jeszcze ze mnie śmieją w sklepach, tak się zawzięcie targowałam. Dziś mnie moje sprawunki dwustu rubli nawet nie kosztowały.

Profesor odetchnął.

— Jestem bardzo oszczędna, — ciągnęła dalej żona. — Sam przyznasz że ciebie wiele nie kosztuję. Dwieście rubli na wiosnę, trzysta w jesieni. . . więcej nie! . . Prawda, panie Józefie, że to bardzo mało? — dodała zwróciwszy się do mnie, ale nim jej odpowiedzieć zdołałem, już dalej mówiła:

— Byłam na bulwarze, aby się wiosennym modom przypatrzeć, widziałam kilka bardzo pięknych sukni. Mam już na myśli idealną formę, podług której uszyją mi prawdziwe arcydzieło z kupionej dzisiaj materyi.

— Spodziewam się, że przynajmniej sama nad wykonaniem tego arcydzieła zechcesz pracować, — mruknął profesor. — Te modystki każą sobie płacić szalone sumy.

— Hm. . . Sama nie potrafię. . . wezmę szwaczkę. . . Byłam dziś na obiedzie u Emilki. Bardzo mi gorąco poleciła pewną Polkę, która ma podobno bardzo wiele gustu, pracuje starannie, sumiennie i wcale drogo za robotę nie bierze.

Profesor począł kiwać głową.

— Zresztą, dając jéj zajęcie będę miała zasługę, — pochwyciła żona. — To bardzo biedna dziewczyna, która swoją pracą siebie i starą ciotkę utrzymywać musi.

Na te słowa serce mi żywiej zabiło.

— E! Rób sobie jak chcesz! — westchnął profesor i pogrążył się w czytaniu porzuconego dziennika.

* * *

Nązajutrz przy obiedzie głębokie z początku panowało milczenie, gdyż w naszem gronie ukazała się obca osoba, szwaczka, panna Walentyna L. — ta sama, której wdziękami zachwycony powróciłem wczoraj z przechadzki. Wszyscy obecni młodzi ludzie w milczeniu na nią patrzeli. Uśmiechali się tylko, trącali się pod stołem nogami, a na twarzach ich oprócz zachwytu malowało się wielkie zadowolenie. Dawniej żarłocznie zmiatali z talerzy, — dziś każdy zdawał się o jedzeniu zapominać. Biedna Walentyna, wystawiona na tyle niedyskretnych spojrzeń, siedząc nieruchoma jak posąg, z oczami spuszczonemi cichym, niepewnym głosem od-

powiadała na dość rzadkie, protekcyonalnym wyrzeczone tonem pytania pani profesorowej. Nie śmiała spojrzeć przed siebie, gdyż na jéj wejrzenie czyhały ciekawe wytrzeszczone oczy kilku młodych chłopców, nie mających wyobrażenia o przyzwoitem zachowywaniu się w towarzystwie. —

Jeden z nich tylko, Karol, mogący mieć lat przeszło dwadzieścia jak, go nazywano „pseudo-student" uniwersytetu, gdyż nigdy na wykłady nie chodził, nie zdawał się nawet widzieć młodej dziewczyny. Wedle zwyczaju jadł bardzo wiele, łokcie szeroko na stole rozpierał i od czasu do czasu głośno, trochę przez nos, cedząc każdy wyraz w prawo i w lewo rozmaite czynił uwagi.

Karola szczerze nie lubiłem; wyobrażał on w moich oczach typ zepsutego człowieka. U kolegów za to miał wielkie poszanowanie, wszyscy bowiem na niego jakby na wzór patrzali i starali się naśladować go we wszystkiem. Ja tylko nigdy nie zbliżyłem się ani przemówiłem do niego, tak, że choć od dwóch lat mieszkaliśmy pod jednym dachem i kilka razy dziennie do jednego z nim siadałem stołu, nie znałem go lepiej i bliżej, jak w dniu, w którym go po raz pierwszy spotkałem. Profesor i jego żona także byli pod urokiem Karola, bo umiał, gdy chciał tylko być czasem dowcipnym, choć nigdy nie mógł się otrząsnąć z pewnej powłoki grubiaństwa i złego wychowania, które wywiózł jeszcze z domu rodzicielskiego. Karol był sierotą, majątek miał znaczny, złożony z kilku wiosek pod Odessą położonych. Często też na wieś wyjeżdżał zaniedbując nauki, o które mało się troszczył. Pieniędzy miał wiele, z których przed nikim rachunku nie zdawał, bo chociaż niby miał jakichś nominalnych opiekunów, ci mało się o niego troszczyli, sądząc zapewne że pełnoletni młodzieniec powinien sam sobie dawać radę.

Karol siedział przy Walentynie.

Trochę od niej odwrócony silił się na dowcipki, z których się profesorowa bardzo głośno śmiała. Przytem, bawiąc się chlebem, który miał w palcach zdawał się nie widzieć siedzących obok niego osób. Po chwili z jego palców wyskoczyła gałka i upadła na talerz Walentyny. Nawet jéj nie przeprosił, choć widział co się stało i bardzo niby obojętnie dalej się chlebem bawił.

Będąc oburzony, z boku na Walentynę spojrzałem. Lekko zarumieniona odsunęła talerz, chcąc w ten sposób dać poznać Karolowi, że mało w jego żartach gustuje.

Nie upłynęło pięciu minut, gdy naraz druga gałka na jéj talerz upadła. Jak przedtem Karol niby nie dostrzegł niczego. Biedne dziewcze spojrzało dokoła jakby prosząc o ujęcie się za nią. Zrozumiałem jéj niemą prośbę i, dłużej mojego oburzenia powstrzymać nie mogąc, zwróciłem się do Karola:

— Czy w Chersońskiej gubernii żadnego nie mają wyobrażenia o własności? — zapytałem drżącym głosem.

Karól na mnie ze zdziwieniem popatrzał.

— Nie rozumiem pana, — rzekł po chwili — Pan z cudzym talerzem obchodzisz się jakby z własnym, — odparłem, wskazując mu talerz Walentyny.

Uśmiechnął się zlekka poczerwieniawszy i, po chwili namysłu, wyrzekł, ruszając ramionami:

— Nie widzę dla czego ma w tem odegrywać rolę Chersońska gubernia.

— Bo u nas na Wołyniu umieją za pomyłkę przeprosić, — odparłem, gniewne na niego rzucając wejrzenie.

Panie Józefie... panie Józefie!.. — słabym głosem uspokajała mnie profesorowa.

— Przepraszam! — niechętnie wycedził Karol zwracając się do Walentyny. — Nie widziałem.

Ale ja na tem poprzestać nie mogłem.

Chciałem zgnębić Karola.

— Pan nie tylko widziałeś, ale nadto za twoją wolą gałka na talerz upadła, — rzekłem naśladując ton jego mowy. —

Karol nie odpowiedział, ale widziałem żem go do żywego ruszył. Byłem uszczęśliwiony z odniesionego tryumfu.

Pani profesorowa przygryzała wargi w milczeniu, nie mogąc sobie jeszcze zdać sprawy z odwagi, z jaką śmiałem tyle niegrzeczności bogatemu Karolowi nagadać. Profesor bardzo pilnie nożem talerz oczyszczał z niedojedzonych kartofli i kapusty.

Spojrzałem na Walentynę.

Z wdzięcznym uśmiechem na mnie patrzała, a uśmiech ten i mnie rozweselił. Gniew ustąpił miejsca radości i pewnej dumie... Jej uśmiech przynosił mnie zaszczyt, dla niego byłbym gotów narazić się na większe niebezpieczeństwa, jak gniew Karóla. Duma moja z każdą chwilą wzrastała... Walentyna mnie wreszcie zauważyła, okazała mi wdzięczność, uśmiechnęła się tak mile... I zdało mi się żem był u szczytu szczęścia.

— Będziesz miał po obiedzie z Karolem rozprawę, — szepnął siedzący przy mnie kolega.

Ruszyłem ramionami z pogardą.

— Większy i silniejszy od ciebie, — mruknął kolega złośliwie.

— Nic mi nie zrobi, — odparłem. — Kto dla dam niegrzeczny — ten jest tchórzem.

— Szwaczka! — bąknął kolega krzywiąc pogardliwie usta.

— Ale kobieta... istota słabsza...

— Don Kiszot z ciebie, Józefie! — zaśmiał się kolega.

Wstano wreszcie od stołu.

Jak przewidywałem, Karol żadnej nie szukał zaczepki. Koledzy rozeszli się do swoich pokojów, a panie wraz z profesorem udały się do salonu. Pospieszyłam za nimi i szepnąłem zbliżając się do profesorowej:

— Proszę Panią przedstawić mnie nowo przybyłej damie.

Spojrzała na mnie ze zdziwieniem.

— Szwaczka! — rzekła półgłosem. — Pan nie potrzebujesz się jéj przedstawiać. Tamci panowie rozmawiali z nią przed obiadem, a żaden nie był jéj prezentowanym

— Dla tego, że ktoś jest źle wychowanym, ja nie mam prawa zapomnieć com sobie winien, — odparłem głowę podnosząc. — Siedziałem z nią przy jednym stole, w jednym się z nią znajduję salonie i nie mam prawa ominąć tej formy, używanej w dobrem towarzystwie.

— Co na to powie ojciec pański, jak się dowie... On taki dumny... taki wielki pan... mruknęła profesorowa, której mój ojciec bardzo zawsze imponował, jak i każdemu, kto się zbliżył do niego.

Przedstawiał bowiem coraz rzadszy w dzisiejszych czasach typ światowego człowieka i wielkiego pana. Równo grzeczny dla wszystkich, umiał jednak każdego na swojem miejscu zatrzymać. Ludzie, którzy mało go znali, nazywali

go dumnym, a jednak nikt mu nigdy nie mógł zarzucić, aby względem kogokolwiek okazał się niegrzecznym. W moich oczach nie był wcale dumnym, lecz tylko doskonale wychowanym człowiekiem. Oburzyłem się przeto na tak złe tłumaczenie jego uczuć i dość żywo odrzekłem:

— Pani się mylisz... Mój ojciec nie jest parweniuszem. Wyłaje mię jeśli, swego obowiązku nie wypełnię. Proszę zatem o przedstawienie mnie tej pannie.

Profesorowa zaśmiała się, znacząco głową kiwnęła jakby odgadując pobudki, dla których pięknej dziewczynie tyle okazać chciałem grzeczności i, zbliżywszy się do niej, przedstawiła mnie według wszelkich wymagań etykiety.

— Pani, — rzekłem, siadając przy Walentynie, — zmuszony jestem panią przeprosić.

Za co? — zapytała.

Opowiedziałem jej w jaki sposób dnia wczorajszego niewinnie podsłuchałem jej rozmowę z ciotką.

Zlekka się zarumieniła, a po chwili odparła:

— Nie poznałam pana... Znasz nasze familijne tajemnice... Stało się... — i dodała z smutnym uśmiechem. — Nie bardzo to straszne tajemnice. Wiedzą o nich wszyscy moi znajomi. — Zamilkła. Nie wiedziałem jak dalej rozmowę prowadzić. Nagle, jakby sobie coś przypomniawszy, rzekła cichym głosem:

— Dziękuję panu.

— Za co?..

— Za jego grzeczność. Na nią nieczułą nie jestem. Choć uboga szwaczka, umiem oceniać wszystko co piękne i dobre... Pan się za mną tak szlachetnie przy stole ująłeś...

— Zrobiłem to coby każdy był powinien uczynić. Są pewne prawa, których każdy przestrzegać powinien, jeżeli nie chce ujść za źle wychowanego człowieka.

— Panie Józefie! — rzekł nagle profesor, którego widocznie niepokoiła moja rozmowa z Walentyną. Obawiał się uroku jej oczu i czarującego uśmiechu. Bał się też mego ojca. — Panie Józefie! Nie chcesz się pan przejść trochę po mieście?.. Muszę pójść do księgarni, a rad bym miał towarzysza do tej przechadzki.

Bardzo mnie niemile uderzyły te słowa.

Zrozumiałem ukryty cel w jego propozycyi, a nie chcąc się przed nim zdradzać, żywo powstałem z krzesła oświadczając, że bardzo chętnie towarzyszyć mu będę.

Wyszliśmy na miasto.

Walentynę miałem nieustannie na myśli. Z jéj sposobu zachowywania się w salonie, z kilku słów, które z jej ust słyszałem, mogłem wnioskować, że staranne wychowanie odebrać musiała. To mnie wielce cieszyło, gdyż moje względem niej uczucia przez to samo uszlachetnione w moich oczach zostały. Nie kochałem prostej nieokrzesanej szwaczki, lecz kochałem osobę z wyższem wykształceniem, którą zapewne nieszczęsny zbieg okoliczności przyprowadziwszy do nędzy, zmusił do pracowania igłą na chleb powszedni. Nie miałem potrzeby taić przed sobą, że ją kochałem silniej niż się kocha bliźniego. To uczucie wczoraj jeszcze we mnie się obudziło, a dziś już gwałtownie płonęło.

Nic przeto w tem nie było dziwnego, że się w złym humorze wlokłem za profesorem.

Tęskno mi było do Walentyny, chciałem co prędzej do domu powracać, ale zacny profesor zgadywał moje myśli i na przekór coraz nowe wynajdując sprawunki widocznie jak najdłużej chciał za domem pozostać. Znudzony w końcu bieganiem po mieście zwrócił się do mnie z uśmiechem.

— Wiesz pan co? — rzekł tonem pełnym zachęty. — Nie mamy co robić... Zrana była burza, morze jeszcze nie zupełnie spokojne... Chodźmy za miasto, do ogrodu *Langeron*. Tam usiądziemy nad morzem i będziemy się przypatrywali delfinom...

Z osłupieniem na niego spojrzałem. Znając go dotąd jako wielbiciela wszystkiego, co tylko matematyki dotyczyło, nigdy nie spodziewałem się, aby śmiał kiedykolwiek wystąpić jako miłośnik przyrody, wzburzonego morza i pluskających się delfinów.

Spostrzegł moje zdziwienie i począł się niezgrabnie tłumaczyć.

— Chciałbym sam zbadać, czy delfiny skacząc parabole czy też hiperbole kreślą w powietrzu. Chodźmy, panie Józefie.

Najserdeczniej się w duchu naśmiałem z zacnego profesora, ale za nim poszedłem, nie chcąc mu dać do zrozumienia, że koniecznie pragnąłem rychłego powrotu do domu.

Już się ściemniło, gdyśmy opuścili brzeg morza. Wszystkich zastaliśmy w domu przy kolacyi. Walentyny tylko nie było. Odeszła do domu. Mieszkała daleko, na przedmieściu Peresypem zwanem. Ulice wieczorem niepewne... bała się... Karol naraz stał się bardzo grzecznym i ofiarował jej swoje usługi. Z początku się wahała, a w końcu bojaźń przemogła i pozwoliła Karolowi, by ją odprowadził do domu.

Tak nam całą rzecz opowiadała profesorowa.

O! Czemuż mnie wtedy nie było! Byłbym ją odprowadził na koniec świata, chociażby nam miały drogę zabiegać całe bandy rozbójników. Przed nią bym miał pole popisania się z moją walecznością...

Nie mogłem, a raczej nie śmiałem sobie tłumaczyć nagłej zmiany w postępowaniu Karola...

On tak z rana niegrzeczny ofiarował jej swoje usługi!.. Bałem się go, bałem się o Walentynę sam dobrze nie wiedząc dla czego.

Całą noc spędziłem bezsennie. Obraz Walentyny nie znikał mi z przed oczu. Ale obok niej stawał Karol i męczarnie moje granic wtedy nie miały... A przecież nie miałem prawa być zazdrosnym... Ona tylko dla niego wstręt i pogardę mieć mogła.

Kto potrafi wytłumaczyć dziwaczne częste marzenia i dumania zakochanego młodzika?...

Nad ranem, znużony, ciężkim snem zasnąłem.

* * *

Przez kilka dni regularnie co rano przychodziła panna Walentyna, ale ja tylko przy stole na nią patrzeć mogłem, gdyż mię pod różnemi pozorami profesor bądź z domu wyciągał, bądź też do nauki zachęcał strasząc nadchodzącemi egzaminami. W obec licznie zasiadających do stołu osób nie śmiałem słowa do młodej dziewczyny przemówić, ale za to w lot chwytałem jej łagodne wejrzenia i urocze uśmiechy. Bez żadnej zarozumiałości mogłem zauważać, że na mnie łaskawiej niż na innych patrzała. Biedaczka czuła się bardzo osamotnioną w tem wesołem gronie studentów. Nie mogły jej bawić ich zazwyczaj proste żarty, bo wychowaniem wyżej od nich wszystkich stała, nie wyjąwszy i pani profesorowej.


KWIECIEŃ.
FRYK.

Nawet dowcipy Karola nie były w stanie uśmiechu na jej twarzy wywołać. A widocznie sadził się na nie, choć niby po dawnemu nie zdawał się jej nawet uważać. Wieczorami jednak bardzo uprzejmie jéj swoje ofiarował usługi, ale daremnie. Już z nich korzystać nie chciała i zwykle ją jeden z moich kolegów dość głupi, ale poczciwy chłopiec odprowadzał do domu. Walentyna widocznie od Karóla stroniła. Dziwny to był chłopiec! Nie mogłem go zrozumieć. Co miała oznaczać ta jego widocznie nienaturalna niechęć? W jaki sposób można było ją pogodzić z uprzejmością, gdy chodziło o towarzyszenie Walentynie wieczorem? Pojąłem to tylko, że Karol odgrywał jakąś rolę, ale roli tej nigdy zgłębić nie mogłem. Zapewną piękną być nie musiała. Począłem go bacznie śledzić, ale żadnej odmiany w nim nie dostrzegłem, chyba tę tylko, że się od kilku dni daleko wykwintniéj ubierał, a włosom widocznie długie poświęcał godziny, gdyż się świeciły jakby powierzchnia lustra, — tak jeden z drugim starannie były pozlepiane.

Badałem go dalej, studyowałem i Walentynę, która zdawała się coraz bardziej nieprzezwyciężony wstręt jakiś uczuć do niego.

* * *

Pewnego dnia, znienacka wszedłszy do salonu, w którym przy oknie pracowała Walentyna spostrzegłem przy niej siedzącego Karóla. Jakiś wyraz nieukontentowania i gniewu nawet malował się na jej twarzy. Zdumiony stanąłem w progu nie wiedząc co mi czynić wypadało.

— Czemuś pani tak sroga, tak zimna i obojętna? pytał Karol.

— Bo panem pogardzam, bo z panem inaczej postępować nie można, — odparła drżącym głosem.

— Tak?... — Jeszcze mnie nikt w ten sposób nie śmiał odpowiedzieć. — I powstał z krzesła by odejść. Mnie już w pokoju nie było.

A więc w Karolu miałem rywala!.. Jakże mu energicznie odpowiedzieć potrafiła!.. Co to ją kosztować musiało!.. Zapewne nienaz przeklinała swoję piękność, która w jej położeniu wystawiała ją tylko na natrętne, hańbiące zabiegi ludzi Karolowi podobnych. Nie miała nikogo, ktoby się ujął za nią i obronił, kogoż mogła biedna szwaczka obchodzić!

Postanowiłem czuwać nad nią w obawie by, Karol nie szukał zemsty. Można go było podejrzywać o wszystko. Gniewny wyszedł z salonu, groził jéj... Niezawodnie obmyśliwał plany brzydkiej zemsty, bo Walentyna była słabą i nikt by w jéj obronie nie stanął.

Postanowiłem przeto pilnie nad nią czuwać. Chciałem z początku powierzyć moje plany niektórym z kolegów, tym u których dostrzegłem pewne poczciwe szlachetne uczucia. Chciałem by każdy z nas zmieniony w tajemniczego stróża rozciągał swoję opiekę nad biednem dziewczęciem. W młodej głowie rozmaite snuły się plany. Układałem rodzaj niby spisku przeciwko Karolowi; sam zaś jako Don Kiszot miałem wystąpić, ale jako Don Kiszot nie pozbawiony rozumu, waleczny lecz i ostróżny zarazem. Zdawało mi się że nagle obudziły się we mnie rzadkie dyplomatyczno-rycerskie zdolności, że na czele kolegów wykryję czarne intrygi Karola że w końcu, jeśli przyjdzie do otwartej walki, choć słabszy, zwyciężę bez trudu, bo za mną będzie słuszność, bo walczyć będę w obronie uciśnionego dziewczęcia.

W ten sposób przez całą noc roiło mi się po głowie. Nadszedł ranek, a z nim rozwiały się wszelkie gorączkowe marzenia. Pozostało mi wprawdzie trochę niepokoju i obawy, ale już się przed kolegami odkrywać nie śmiałem, bojąc się ich drwinek i złośliwych żartów.

(Dokończenie nastąpi)

NAGRODA.

Powiastka
Eliszki Krasnohorskiéj.

(Ciąg dalszy).

„W domu!“ westchnęła Bożena i zamyśliła się głęboko. „A gdzież jest dom tego dziecka?“

Ludmiłka była sierotą. Przed trzema laty znaleziono ją przy drodze w śniegu, w nędzy największej, w podartéj koszulce i sukience. Biedny wyrobnik znalazł to dziecię i zaniósł do najbliższego miasteczka, gdzie się atoli nikt do niego nie przyznał. Władza starała się wyśledzić rodziców, ale na próżno, tak że nieszczęśliwa sierotka została samiuteńka na szerokiem świecie. Brzydzili się nią ludzie, uważając ją za dziecko cygańskie, gdyż kilka dni poprzednio przebywali tam cyganie, a dzieciszczko było tak opalone i brudne, że można je było uważać za cyganeczkę. Tylko córka starego Herdliczki, do tego miasteczka zamąż wydana, okazała tyle dobrego serca, że mając dwoje dzieci własnych, przyjęła i to trzecie cygańskie do swej rodziny. Ujrzawszy na szyi mały, czarny, zardzewiały krzyżyk żelazny, utwierdziła się w przekonaniu, że dziecko to ochrzcone. Nie zważając na ludzkie gadania, zajęła się szczerze losem sieroty i ukochała je serdecznie. Dziewczynka pod czułą opieką rozkwitała jak róża. Poznali wszyscy, że o cygańskiem pochodzeniu ani mowy być nie mogło.

Ponieważ dziecko powtarzało często słowo: „Lila“, domyśliła się tedy troskliwa opiekunka, że się zowie Ludmiłą i tak ją téż odtąd nazywała. Gdy jednakże więcéj dzieci przybyło, Bożena uprosiła siostry, że jéj dała Ludmiłkę na wychowanie, tym więcéj że i stary Herdliczka tego gorąco pragnął. Wzięli ja tedy do Pragi, a starzec, aby uniknąć ludzkich podejrzeń, ogłosił, że dziewczyka jest jego wnuczką. Bożena stała się jéj prawdziwą matką, a dziecię téż stało się pociechą i ozdobą jéj cichego żywota.

Bożena nieraz rozmyślała sobie, że Ludmiłka może pochodzi z szlachetnéj bogatéj rodziny, a przez przypadek tylko popadła w smutne położenie. To dziecię nie miało zapewne matki, gdyż w przeciwnym razie nie znalezionoby jéj opuszczonéj na drodze. Duch matki zapewne czuwał nad sierotą. Bożena wspominała sobie własną matkę, zmarłą niedawno, chciała jéj odpłacić miłość i starania w ten sposób, że zajęła się gorąco wychowaniem biednéj dzieciny, którego strzegła jak źrenicy w głowie. I serce dziecięcia zwracało się ku swojéj opiekunce, jak kwiat do słońca. Ludmiłka okazywała tyle pięknych przymiotów, że Bożena pokochała ją nad życie i ceniła ją wyżéj nad wszystkie skarby świata.

Z tych myśli wyrwał ją ojciec, który wybierał się do pana prezesa.

„Ustrój się pięknie“, mówił dobrodusznie starzec do Ludmiłki, „o jedenastéj przyjdę po ciebie i po Bożenę, ażebyśmy pospołu szli do kościoła, a teraz poskoczę szybko z powinszowaniem na Małą Stronę. Bożeno, podaj mi nowy surdut.“

Bożena otworzyła skrzynię i wyjęła z wielką ostróżnością świąteczny ojca surdut, który miał tym większe prawo do przydomku „nowy“, gdyż już 34 lata służbę wypełniał. Był to niegdyś surdut weselny. Bożena pamiętała jeszcze jak przez sen, kiedy ten czcigodny surdut dostał nowe obszycie. Była to nieomal uroczystość rodzinna. Wyjąwszy ów zabytek, rozłożyła uważnie na stole, aby zobaczyć, czy ząb czasu nie sprawił jakiéj szkody. Było jednakże wszystko w porządku. Staruszek spojrzał jeszcze bacznem okiem na dawnego towarzysza, a zmiotłszy jeszcze małe ledwie okiem widziane pyłki, przybrał się w ów surdut, a przywdziawszy na głowę również starożytny kapelusz, wyruszył poważnym krokiem z laską w ręku. Bożena posadziła Ludmiłę w okno, aby mogła patrzeć na kroczącego poważnie starca.

Potem zajęła się Bożena nadaniem pokoikowi świątecznego wejrzenia. Było to trudno, aby stara i uboga izdebka piękniejszą się stała. Bożena okryła stoły białemi śnieg obrusami, przytem poprzestawiała sprzęty, wysypała podłogę piaskiem, a wnet aż się weseléj w chatce zrobiło. Szczególniejszę uwagę zwróciła na małą szafkę z książkami, która w téj ubogiéj izdebce była czemś niezwykłém. Te książki darował jéj pewien student, odwdzieczając się w ten sposób za liczne dobrodziejstwa, których doznał od Herdliczki. Zapewne najpiękniejsze klejnoty nie sprawiłyby Bożenie tyle szczęścia, ile te książki. To też dziś ozdobiła szafkę piękną, w kwiaty haftowaną opaską. Bożena dziwiła się, że tak ślicznie w pokoju, dlatego gorszyła się, że Ludmiłka nie uważa domowéj zagrody za najpiękniejszą w świecie.

Wśród téj pracy upłynęła godzina, jakby jedna minuta, a ojciec dotąd nie wracał. Ustawiczne pytania dziewczynki zwróciły ostatecznie uwagę Bożeny, że już dość późno, że ojciec już mógł był dawno powrócić. Długie wyczekiwanie zaczęło jéj być nieznośném, mimowoli obudziła się w niéj wątpliwość, czy téż nie spotkało ojca jakie nieszczęście. Wtem zaturkotał pojazd i stanął wprost jéj okienka. Bożena zbladła, gdyż przeczuła, że ją czeka nieszczęście. Dwóch ludzi niosło na rękach jéj ojca, pozbawionego zmysłów lub może martwego.

Gdy już złożyli bezwładnego Herdliczkę na łożu, natychmiast rozkazał pan swemu woźnicy, aby prędko poszedł po lekarza. Bożena tymczasem przestraszona uklękneła przy łożu, obsypując gorącemi pocałunkami twarz rodzica, chcąc go powołać do życia.

(Ciąg dalszy nastąpi)

Kwiecień dla myśliwych.

Tegoroczny Kwiecień, a nawet początek Maja, był bardzo chłodny, dżdżysty i nieprzyjemny. Na obrazku widzimy na lewo jaskółki, atoli czy rzeczywiście w tym roku te ptaszęta w Kwietniu przybyły, godzi się powątpiewać. Na prawo stanął poważny bocian, który choć Kwiecień zimny, jednakże przybywa w tym miesiącu. Kuropatwy już w Kwietniu zwykle wywodzą kurczęta, ale nie chcielibyśmy twierdzić, czy to się stało i w bieżącym roku.

W. Pol w „Roku Myśliwca,“ wydanym nakładem księgarni J. K. Żupańskiego tak się rozwodzi o Kwietniu: „Jelenia swędzą rogi, więc odbija się od stada i czemcha je, na rzadkim lesie sarny wychodzą na zręby, a sarniuk ociéra jeszcze i w tym miesiącu łyko, dziwnie zły i trwożliwy. Rogacze, łanie i sarny mają w tym czasie ladaco mięso, a skórę podziurawioną, bo się poczwarki z jaj pod skórą wylęgłych owadów przez skórę wygryzać poczynają, co wiele cierpienia téj zwierzynie sprawia; jelonki takroczne zrzucają jeszcze rogi. Szaraki stare mają młode, takroczne idą w parkot. Młode lisy wywiodły sie już po jamach 3—9. Kuny mają już także młode 3—4; toż tchórze 3—6, wydry 2—4, żbiki 4—6 kociąt. Ciepłemi nocami wywodzi już borsuk młode przez jamę. W liściastém gnieździe leżą już także młode wiewiórczęta.

Słowem, że na nic polowania niéma; jest to miesiąc ni z piérza, ni z mięsa, ni z skórki, bo się w tym czasie gniazdo wszelkiéj ptaszki i zwierzyny odnawia. Ztąd razem z ciągiem słomek, ustaje także polowanie na błotne wędrowne ptaki, na grzywacze, głuszce, jarząbki i cietrzewie, a kto przysmaczki lubi, podbiéra jaja czajek, które w okolicach jeziornych i błotnych krzykiem swoim zagłuszają głos wszelkiego innego ptactwa.

W tym czasie najwłaściwiéj zająć się odnowieniem gniazd psów legawych i układaniem młodych psów, dla których w tym roku piérwsze idzie pole. Szczenne suki mają być po psiarniach oddzielone i dobrze żywione; strzelby do naprawy dane; rozjazdy i letnie siatki sporządzone lub odnowione; myśliwskie czołna naprawione lub ciosane znowa, a parkany czy płoty psiarni opatrzone nanowo, żeby się psy nie wykradały, nie wykopywały, nie wynosiły i nie psuły zwierzyny ktora, gniazdo odnawia.

Piosnka Bartosza.

Oto idziesz w świat pacholę,
Niosąc z chaty twéj piosenkę,
Że porzucisz ojców rolę,
A pociągniesz na wojenkę.
Na dalekie świata krańce,
Na Tatary, na Pohańce!

Czemu patrzysz po za siebie? —
Oko twoje łezką świeci —
Stara matka nie dla siebie
Wychowała swoje dzieci! —
Wziąłeś od niéj krzyżyk w darze,
On ci drogę twą pokaże.

A gdy wietrzyk z twego sioła
Po szyszaku lekko muśnie,
Spadnie chmura z twego czoła,
I tęsknota w sercu uśnie —
Bo duch matki syna strzeże
Odmawiając swe pacierze.

Gdy zaś trąbka cię powoła,
A ostatniéj myśli wątek,
Do rodziny biegnąc koła
Żegna drogi ten zakątek —
W serce twoje spłyną zdrojem
Te wyrazy: — Idź z spokojem! —

A więc naprzód — myślą lekki!
W tyle troski, żal i smutki!...
Świst kul płynie niedaleki —
W uszach dzwoni głos pobudki!
Lecz choć która cię powali,
Duchem naprzód! daléj — daléj! —

Gniezno, 23 Stycznia 1879.

Marya Kierska.

Uwagi Krytyczne
E. Calliera
nad
Złotą Księgą Szlachty Polskiéj,
ułożoną i wydaną przez
Teodora Żychlińskiego.
X.

„Brzechwów rodzina, mówi p. Żychliński w przypisku 4. na str. 160, — skolligacona z Jordanami, Tarnowskimi, Podlęskimi, Morsztynami i t. d.“

Takim ogólnikiem zbywa po macoszemu rodzinę, która przez trzy wieki służyła krajowi; która wprawdzie w łonie swem nie liczy senatorów, ale która, bez zaprzeczenia, świetniejsze wykazać może czyny od niejednego senatora, zwłaszcza z ostatniego wieku istnienia Rzeczypospolitéj.

I rzeczywistym n. p. bohaterem jest Jan Brzechfa, którego żaden heraldyk pominąć nie powinien skoro potrąca o tę rodzinę.

„Mając do Moskwy na dwanaście koni arkabuzerów w rocie kawalera Pieniążka, mówi o Janie tym Paprocki, gdy do szturmu szli, onej dobrej komitywie swej chorągiew przed nimi niósł, z którą na mur wskoczywszy, wielkie szwanki podejmował od nieprzyjacielskich pocisków; jednak z chorągwią, chociaż bardzo zbity, nie ustąpił, aż potem bacząc bardzo potłuczonego, sami gwałtem Polacy, towarzysze jego zwiedli go z muru na dół, a na jego miejscu po nim kilka inszych Moskwa zbiła. I już długo w wielkiéj strzelbie chorągiew się mięszając, między drzewy wisiała, Moskwa sięgała jej osękami ze spodku, wtem pachole królewskie, Saporowski, dostawszy jej, chwilę ją niemałą trzymał, aż zatem noc zaszła. W wielu potrzebach znacznym się mężem pokazał ten Brzechfa, tam na tej ekspedycji, jakoż i w krainach postronnych w sprawach rycerskich znacznym bywał.“

Godnym potomkiem tego bohatera okazał się za księcia Poniatowskiego i za Napoleona podpułkownik Brzechfa, dowódzca 17go pułku jazdy; — bodaj czy mu nie było na imię Onufry. Ten postradał mienie swoje w skutek konfiskaty rządowéj za panowania Mikołaja I.

Prócz różnych posłów sejmowych liczą Brzechfowie po jednym burgrabiu, podkomorzym, staroście, chorążym, podczaszym i cześniku; opatów trzech i dwóch autorów, z których jeden podobno pierwszym Polakiem rodowitym był Karmelitą Bosym, a drugi Jezuitą.

Z tak obfitego materjału wyciągnął autor Złotej Księgi jałową „kolligację“, któraby również zastósować się dała do każdéj innéj rodziny; — „skolligacona“ bowiem jest cała Polska szlachecka. Kim zaś był ów Andrzéj, ojciec Brzechfianki, do któréj się odnosi przywiedziony powyżéj przypisek, nie powiada nam p. Żychliński; — heraldycy nasi znają tylko dwóch Andrzejów: opata Tynieckiego i Karmelitę Bosego. —

Co do pisowni wreszcie nazwiska domu tego, nadmienię, iż Stanisław, Jezuita, pisał się Brzechfa; inni piszą: Brzechffa i Brzechwa; tę ostatnią pisownię przyjął autor Złotej Księgi.

* * *

Za Przewodnikiem Heraldycznym Kosińskiego powtarzając, że Brudzewscy herbu Pomian tytułowali się komesami czyli hrabiami, za Piastów, nie dostrzegł, lub nie zastanowił się p. Żychliński nad tem, że wspomniany heraldyk liczy do domu tego pięciu wojewodów i jednego kasztelana, od r. 1342—1551.

Pierwsza data odnosi się do Jaranda, kasztelana Rozpierskiego, a druga do Mikołaja Jaranda z Brudzewa, wojewody Łęczyckiego; trzej inni wojewodowie z Brudzewa Pomiany zajmują okres czasu od r. 1427—1520; piątego zaś wojewody Pomiana Brudzewskiego nie znam; autor Złotej Księgi powinien go był wynaleść, lub Kosińskiego sprostować.

W Niesieckim jest inny Mikołaj Brudzewski podczaszym Kaliskim i starostą Brzeskim w r. 1462; w Encyklopedji Powszechnéj jest starostą już w r. 1455, a w r. 1460 występuje jako kasztelan Brzeski. Do urzędów tych dodaje p. Żychliński podkomorstwo Poznańskie, nie przywodząc źródła, z którego czerpał. Wojewodą Sieradzkim został następnie Mikołaj ten w r. 1471 podług Encyklopedji Powszechnéj; w Morawskim, Tom V, str. 447, jest nim od r. 1475—1485; autor Złotej Księgi położył r. 1476 za Paprockim i Niesieckim, nie troszcząc się o niedokładności, jakie zachodzą w przywiedzionych tu dziełach i pomijając kasztelanię Brzeską, która przecież więcéj illustruje, aniżeli podkomorstwo Poznańskie. Jeżeli zaś Encyklopedja Powszechna się myli, wypadało ją sprostować, zwłaszcza że Morawski nie wymienia Brudzewskiego Mikołaja w poczcie kasztelanów Brzesko-Kujawskich.

Wiadomości Literackie.

Od d. 1 lipca 1878 r. wychodzi w Krakowie pod redakcyą Dra Władysława **Wisłockiego**, kustosza biblioteki Jagiellońskiéj,

„Przewodnik bibliograficzny,“

miesięcznik dla wydawców, księgarzy, antykwarzy, jakoteż czytających i kupujących książki. Każdy Ner w objętości $^1/_2$—$1^1/_2$ arkusza druku w zwykłéj 8ce, 49 wierszy (60 patentowych) wysokiéj, zawiera dwa działy: 1. Bibliografią właściwą bieżącą; 2. Ogłoszenia czyli inseraty księgarskie, drukarskie, antykwarskie i t. p.

Warunki przedpłaty:

całorocznie	1 złr.,	z przesyłką	1 złr. 24 cent
$^1/_2$ „	50 cnt.	„	— 62 „
$^1/_4$ „	28 „	„	— 34 „
$^1/_{12}$ „	10 „	„	— 12 „

Opłata od ogłoszeń za każdą $^1/_{16}$ część strony 50 cnt, za całą stronicę czyli 61 wierszy petytowych 5 złr.

Księgarniom i antykwarniom, jakoteż redakcyom pism naukowych i literackich, prenumerującym dla swoich czytelników znaczniejszą liczbę egzemplarzy, odstępuje się stosowny rabat, mianowicie przy każdych 20 egzemplarzach $^1/_6$ część stronnicy czyli 10 wierszy petytowych bezpłatnie do ogłoszeń.

Prenumeratę w gotówce i wyraźnie pisane ogłoszenia przesyłać należy za pośrednictwem księgarni krajowych i zagranicznych najdaléj do 20 każdego miesiąca albo do księgarni **Gebethnera i Spł.** w Krakowie, albo wprost do redaktora „Przewodnika bibliograficznego.“

Telefon „Lecha.“

A. Ł. w D. Wiele jest utworów, któreby mogły pocieszyć, tu przytaczamy na prędce zwrotkę, mogącą dodać odwagi:

Na drodze twojéj uwiądł jasny kwiatek róży,
Zbladła złota gwiazdeczka na życia błękicie,
Lecz tem milsza pogoda zawita po burzy
I zieloną nadzieją opromieni życie.

„Lech“ wychodzi co sobotę w Poznaniu. Przedpłata ćwierćroczna wynosi na pocztach 2 marki, roczna wprost w redakcyi 8 marek, dla Austryi 5 złr.. dla Ameryki 3 dolary. W Poznaniu dla tych, co sami w ekspedycyi (ul. Wodna nr. 15) odbierają, ćwierćrocznie 1 m. 50 fen. Listy dochodzą pod adr. *Lech Poznań.*

Redaktor i nakładca Józef Chociszewski w Poznaniu — Czcionkami H. Schmaedickiego w Poznaniu.